# Fejleton spirytystyczny.

## Nr. 13.

## Obrazki z życia,

ducha Kajetana.

(Ciąg dalszy).

O mój Boże! Gdyby tak zamiast tej błyszczącej powinności, jaką się wypełnia pod przewodnictwem księżnej, naczelniczki pań miłosiernych, które z miłosierdzia dla biednych cierpiących bardzo wiele starają się czynić (latem pracują biedaczki nad układaniem numerów na fantową loterję) gdyby tak część tych pieniędzy, które pochłaniają te bezpotrzebne błyskotki, jakiemi te panie miłosierne obwieszają siebie w dniu tym, mającym na celu osuszyć łzy biednych — złożyły w ofierze na ołtarz ubóstwa, ile by rzeczywiście było łez otartych! A cóż powiedzieć o tych wszystkich pełnych poświęcenia balach, koncertach, na cele dobroczynne? Co za poświęcenie! Zimą po otulane, drżą z niecierpliwości, jadąc na bal, którego celem są biedni.

Cieszcie się biedni! Bardzo się cieszcie. Patrzcie! Ile tu atłasu rozsprzedali żydzi; ile kwiatów i świecideł we włosach tych dobroczynnych istot, które będą tańczyć dla was, tak, dla was biedni!...

A gdyby też zamiast tych kilku nędznych groszy, rzuconych dla was potem, każda z tych pań odłożyła tylko czwartą część z tego, co kosztowały ją te fraszki zbytkowne, czyż nie możnaby ulżyć prawdziwie nędzy, nie drażniąc uczuć? Bo po cóż ta igraszka słów? Wszak wesołość nie jest grzechem! Możnaż tańczyć i bawić się wesoło, gdy myślimy o nędzy bliźniego naszego? Czyż nie zastygnie wam uśmiech na waszych zalotnych ustach, na samo wspomnienie o niej?

Taka ironja i szyderstwo z cudzej boleści, powinne być wygnane, z postępem cywilizacji. Dla czegoż z samych siebie żartować, pod pokrywką dobroczynności, łechtać próżność własną? Przykład taki, idący z góry, jest tylko smutnym dowodem moralnego upadku w biednym kraju naszym. Płakać można niestety nad tem, że te, które przez położenie swoje w świecie powinne być wzorem dla innych; powinne błyszczeć aureolą cnót domowych, dać z siebie przykład szlachetności, przywdziewają tylko płaszczyk i pozory cnoty. Czy można dzisiaj w biednym kraju naszym zapomnąć choć na chwilę powinności swojej? Biada tym, którzy o tych powinnościach zapominają; biada niewiastom polskim, bo one

powinne być przykładem cnót i poświęcenia; one powinne być tymi stróżami, pilnującymi ognia świętości uczuć i powinności chrześcianek, które tak święcie wypełniały nasze prababki.

A jak wielkie i piękne jest powołanie każdej kobiety bogatej, gdyby je tylko chciały pojmować i wypełniać. Nie uganiając się za próżnością świata, potrafiłyby ściągnąć cześć ogółu swojem cnotliwem życiem, które nie zasadza się jedynie na spowiedzi i pilnem odmawianiu pacierzy w kościele, lub na słuchaniu z pokorą niezrozumianych słów którego z płatnych klechów. Każda z nich, gdy po mszy świętej w piątek, otulona jedwabiami, wsiądzie do oczekującej na nią karety, sądzi, że już wszystkie powinności chrześcijanki wypełniła. A gdyby też wychodząc spojrzała w koło siebie, zobaczyła u progu kościoła skulonych biedaków, drżących od zimna i głodu i wyczekujących cierpliwie i z pokorą litości pańskiej. Powiecie: «żebraki, pijaki.» I mogąż oni być inni, ci nieszczęśliwi? I cóż ich od kolebki otacza dobrego? Z dziecinnych lat troski, cierpienia fizyczne; nikt ich nie uczył o Bogu, nikt im nie powiedział: że grzechem jest kłamać i upijać się. Instynktowo, od dziecinnych lat czują głód i chcą go zaspokoić; od dziecinnych lat nigdy nie spotkało ich uprzejme słowo, wszędzie ich złają; zapominają, że ten mały włóczęga, to człowiek; że on równie czuje cierpienia fizyczne i moralne; rośnie zatem pogardzony od świata i ludzi, którzy go odtrącili, odrzucili jak złą roślinę. I nic dziwnego, że wyszukuje wszelkie sposoby, żeby wlec to nędzne życie. Niech społeczeństwo pomyśli o ochronie takich nędznych biedaków, niech się nikt nie uchyla od wsparcia nieszczęśliwego, wtenczas pewnie nie będzie biednych; nie będzie złodziei i żebraków, ale będą ludzie poczciwej pracy. Dobre ziarno, aby mogło wydać owoc dobry, musi być wrzucone na przygotowaną do tego rolę; przygotowanie to zależy od rolnika. Ziarnko moralne, uczciwości, wrzucone w serce dziecka, rozkrzewi się bujnie przy starannem pielęgnowaniu poczciwej i rozumnej matki; i dla tego cnotliwy i dobry syn, poczciwy obywatel kraju, słusznie może być dumą rodziców, matki w szczególności, która pierwsza zaszczepiła poczciwe uczucia w sercu swego dziecka.

Upadek kraju naszego winniśmy przypisać kobietom, bo jeżeli mała ich liczba pojmowała swoje powołanie, to ogół, rzucony w wir światowych uciech, lub oddany nabożeństwu, zapomniał o obowiązkach, jakie Bóg na nie włożył. Moda zabiera dziś wszystek czas kobietom w małej części kraju polskiego, który dziś stał się ochroną, przytułkiem, dla biednych naszych braci, wygnańców z prowincji zabranych przez Moskali. Powinnością kobiet byłoby, braci tych przyjąć tak, aby nie potrzebowali biedni starcy, z nędzy i głodu, podrzynać sobie gardła. Nie mówię tu o biednych, poczciwych rodzinach, które zaledwie mają tyle, aby wykarmić swoją dziatwę a które często stosunkowo więcej czynią, niż bogate

panie; ale odzywam się do was arystokratki z mienia i rodu; ale odzywam się do was arystokratki z pieniędzy i z majątku; do was, żony bogatych parwenijuszów, które staracie się prześcignąć gustem i stanąć na równi z arystokracją rodową, chociażby tylko w urządzeniu waszych salonów. Wy możecie przyjść wspólnie z pomocą i wesprzeć tych wygnańców, podając im sposób do poczciwej pracy, ażeby mogli być kiedyś obroną i podporą waszej ojczyzny. Kartaginki, obcinały włosy na cięciwy do łuków dla swych mężów. Wy Polki! poobcinajcie tylko ogony u waszych aksamitnych sukni, a każda z was będzie mogła dać chleb, choćby na jeden miesiąc, tym biedakom. Dla czegóż miałyby być wyższemi od was te poganki, od was, tak gorliwych chrześcijanek? — Ale zupełnie odbiegliśmy od naszych obrazków, a czas już nam wrócić do szanownej rodziny Adminosów, aby się potrochu zapoznać ze wszystkiemi jej członkami. Zostawmy zatem Panią Dorotę z Jasną Panną, gospodarującą w świeżo nabytym majątku naddniestrzańskim i cieszącą się niesłychanie z tego, że nieopodal od pałacu stanął dworzec kolei żelaznej— a przenieśmy się napowrót do miasta, gdzie dość niegrzecznie, opuściliśmy Panią Kingę z jej córkami, i Pana Marcina z jego jasnowłosą małżonką w okrągłym kapelusiku z długim gazowym woalem, którym wychodząc z mężem na niedzielną przechadzkę, starannie się zakwefia, z przyczyn jej samej najlepiej wiadomych. Ażeby się z niemi bliżej i bardziej zapoznać, wejdźmy do ich mieszkania.

Jesteśmy na trzeciem piętrze w pięknej kamienicy, własności zmarłego męża Pani Kingi. Poczciwy stary sam ją budował, licząc z radością każdą cegiełkę, przybywającą jedna na drugą, bo każda ta cegiełka, to kropla potu z jego pracy, i myślał: dom ten, to moja praca uczciwa, to przyszłość moich dzieci, to ich majątek, który im zostawię, a który przy ich edukacji powinien im zapewnić uczciwy byt. Dom ten, to kiedyś własność mego najstarszego syna.. on z czasem spłaci resztę rodzeństwa i wszystkim będzie dobrze. Stary kochał swoje dzieci, ale kochał wszystkie zarówno, nie tą jednostronną miłością niektórych matek, które dziwaczne czynią wyjątki między swemi dziećmi. Biedny stary! On nie wiedział, że jego syn pójdzie w obce strony, że go tam oszukają, a tymczasem w domu majątek przeżyje reszta rodzeństwa, krewni rozkradną, a potem rzucą obelgę na tego najmniej winnego, aby pokryć własne swoje grzechy i zaczną krzyczeć: — On jest przyczyną upadku naszej fortuny — a najwięcej krzyczeć będą ci, którzy z łaski weszli i zostali przyjęci w domu jego ojca i którzy najlepiej mogliby powiedzieć, gdzie się ta fortuna podziała. Wejdźmy zatem, powtarzam, na trzecie piętro.

W sieniach, prowadzących do wnętrza mieszkania Pana Marcina, stoi duży kojec z kurczętami, pełen zawsze pierzastych mieszkańców, pa-

sionych dla podłechtania podniebienia tej szanownej pary. Otworzywszy wnętrzne drzwi, przejdziemy wprost przez przedpokój, zostawiając po prawej stronie kuchnię na boku i wejdziemy do pierwszego pokoju; rodzaj jadalni, bo stoi w nim duży bufet w kącie, także rodzaj sypialni, bo stoi duże łóżko, wysoko wysłane betami. Jest tam i duża sofa przy środkowej ścianie, przed nią stół, pokryty ceratą imitującą kolor drzewa orzechowego. Do tego stołu trzy razy na dzień zasiada zacna rodzina Adminosów dla posilenia swoich sił fizycznych; przy tym stole, w godzinach wolnych od nauk, panienki rysują kwiateczki; przy tem to stole po wieczerzy, pan Marcin w pantoflach i w szlafroku z fajką w ustach na długim cybuchu, odczytuje głośno pisma i nauki Andrzeja Towiańskiego, w celu moralnego zbudowania swego młodego pokolenia. Zajdźmy go zatem wieczorem po cichutku, w chwili zasiadania wraz z rodziną do wieczerzy.

Na stole stoi duża lampa z ogromną umbrą z kolorowych kwiatów, praca jednej z sióstr pani Marcinowej. Dzisiaj nakrycie jest na pięć osób. Według przyjętego zwyczaju, w niedzielę, matka samej pani z córkami jest na obiedzie i wieczerzy. W dniu tym, na stole szynka rumiana chroni wstydliwie swoje wdzięki za swój płaszczyk ze słoninki, obok niej, zastawiono smarzone kurczęta, masło, ciasta, śledzie i piwo w pękatym dzbanku. Znać, dzbanek został w domu państwa Marcinów pamiątką, i wszedł w używanie praw swoich przez szczęśliwie odniesiony skutek w piwnicy wujaszka; pozostał zatem przy ich stole nieodstępnym towarzyszem wspomnień z przeszłych lat ich nader poetycznej wiosny i serdecznej miłości, złączonej tem pękatem naczyniem. Zapewne skutkiem to zapatrzenia się na niego, postać pana Marcina z rok na rok przybiera co raz bardziej formę pękatego dzbanka, tego opasłego świadka najmilszych jego wspomnień.

W tej chwili czoło pana Marcina błyszczy radością, a broda na wpół ukryta w uwiązanej na szyi serwecie, cokolwiek trzęsie się uśmiechem w falistych jej zagięciach; rozpiera się on na środku sofy z długim nożem kuchennym i z uwagą łakomca kraje rumianą szyneczkę w cieniutkie plasterki, rozkładając je po talerzach. Panienki, porozbierane w kaftanikach białych, siedzą milcząc jedna przy drugiej i pod stołem rękami i nogami wynagradzają sobie sowicie przymusową sztywność, jaką muszą zachować w obec rodziców. Sama Pani siedząca wprost na przeciw męża, promieni się uśmiechem zadowolenia, bo cała niedziela upłynęła jej po myśli. Pogoda sprzyjała; mogła zatem w najparadniejszych sukniach być w kościele, a potem na wałach; mogła patrzeć litośnie na te biedaczki, które nie mają tak jak ona najświeższej mody paltocika. Zadowoloną jest zatem pani Marcinowa, a zadowolenie to odbija się na jej twarzy głupim uśmiechem. Obok niej siedzi jej matka, poczci-

wa staruszka, przygarbiona, z łagodnym wyrazem twarzy i spoziera z uszanowaniem na zamożnego zięcia, który odkąd został mężem jej córki, nie był ani razu przez nią nazwany synem, bo jakieś dziwne uczucie krępuje jej usta w chwili, gdy to słowo chciałaby wymówić; człowiek ten bowiem z swoją lodowatą grzecznością, nie wzbudził miłości w jej sercu, ale mroził lodem jej macierzyńskie uczucia.

— Tak, tak, moi drodzy — prawi pan Marcin w chwilach odpoczynku w swojej pracy przy ogromnej szynce.

— Miłość bliźniego, jest to największa i najtłustsza sztuka; ej! nie; chciałem powiedzieć, największa cnota każdego chrześcijanina. Nikt to nam tak ślicznie nie powiedział, nie wytłumaczył, jak nasz mistrz, nieoceniony Towiański. Każdy chrześcijanin powinien tak żyć uczciwie, jak gdyby za chwilę miał stanąć przed sądem Boskim.—

Tu pan Marcin odpoczął, odsunął szynkę a raczej kość okrojoną z mięsa na środek stołu i ciągnął dalej napiwszy się wprzód szklankę piwa.

— Pamiętać zatem trzeba, że życie, to ciągły krzyż tak jak Chrystusa, a jest ich trzy według najmędrszej, najwyższej nauki naszego mistrza Andrzeja Towiańskiego: Biały krzyż zasługi, szary krzyż poświęcenia i czarny krzyż bolu i cierpienia, które powinniśmy z pokorą i bez szemrania znosić, bo tylko umartwieniem ciała osiągnąć możemy udoskonalenie duchowe. Zatem cieszyć powinniśmy się z cierpienia, pragnąc go i szukając różnemi sposobami jako to: postem, modlitwą.—

Odetchnął znowu niezmordowany wyznawca Andrzeja Towiańskiego, przysunął do siebie talarz z piramidą ułożoną z szynki i przez chwil kilka milczenie zaległo komnatę, słychać tylko było brzęk nożów i widelców lub łoskot przesuwających się talerzy. Pan Marcin od czasu do czasu zapraszał do jedzenia, lub dolewał z pękatego dzbana piwa, nie zapominając wcale o sobie; jadł za czterech, bo wspomnienie postu zaostrzyło mu bardziej apetyt pobudzony i tak środkiem podobnym, jakiego cesarze rzymscy używali podczas uczt. Środkiem tym, w domu państwa Adminosów były pewne pigułeczki, za pośrednictwem których żołądki ich stawały się lżejsze i czuły potrzebę pożywnych pokarmów.

— Koteczko droga! — odsapnął nareszcie pan Marcin do żony, spożywając smaczny rozbratel — Koteczko! Gdybym cię śmiał utrudzić i prosić do tej łapeczki z kurczęcia, którą chcę jeszcze skosztować, parę korniszonków, to by mi bardzo smakowały.—

— Natychmiast mój koteczku; a przecież ja ich nie dla gości, tylko dla ciebie robiłam.—

Tu usłużna małżonka, udała się natychmiast ze świecą do sąsiedniej niszy o szklannych drzwiach, przeistoczonej od dawna na spiżarkę domową, zkąd po chwili ukazała się wraz z pokojową, niosącą pełen talerz korniszonów.

— A jak nieuniknione są te krzyże w życiu każdego człowieka! widocznem to jest, gdy ja, który z takiem poświęceniem żyłem tylko dla mojej siostry, tyle ich mam teraz do znoszenia przez nią i jej dzieci, a najwięcej przez jej kochanego synka, Hipolita, który nas tam w Rossji, wraz ze swoją żoną szlachcianką, zrujnował kompletnie.

— Głupiec! mówiąc nawiasem; trza się było jemu żenić z szlachcianką?! Wielka rzecz szlachcic! Ja sobie kpię z każdego szlachcica i kontent jestem, że Bóg mnie nie stworzył szlachcicem. To głupia szlachta! Próżniaki! Wiele to człowiek przez dzień musi ich kaprysów znieść? Ach! żeby to można doprowadzić tę szlachtę do tego, żeby nosiła nam wodę, a zdaje się, że do tego nawet już wkrótce przyjdzie, — dodał poważnie, — bo oni nie pojmują Andrzeja Towiańskiego. — To też dziś my górą, a po nich będziemy tak deptać, jak ja dziś depczę u mnie w sklepie po starych skrawkach sukiennych. Ale tu wracam się do niego. Po co mu było szlachciankę za żonę, nie prawdaż Mamo?— rzekł, zwracając się do matki.

Mama, chociaż nie pojmowała wcale, coby to miało być tak złego żona szlachcianka, odrzekła jednakże: Oj! co prawda, to prawda.—

— Patrz, kochana mamo, — zabrała po raz pierwszy w ciągu wieczerzy głos pani Marcinowa, — do czego to nas dzisiaj ta wielka pani doprowadziła? Jak ciężko człowiek musi pracować przez nich! Czy my sobie kiedy w czem dogadzamy? Niech nam kto powie, co nas zna i widzi; byle na chleb...

— Żonciu! Żonciu! — przerwał znów małżonek, — ją się obawiam dzisiaj niestrawności; gdybyś mi tak kazała jeszcze zrobić herbatkę z rumem, a nim to nastąpi, gdybyś tak podała buteleczkę winka. Mama się napije; wszak prawda? Ta i ja nie od tego, bo to wspomnienie ciężkiej mojej pracy, kamieniem mi cięży na sercu. Zresztą, wino zrestauruje żołądek, a zdrowie nasze powinniśmy szanować. Jest to obowiązek, jaki mamy względem naszego Stwórcy; bo czyż nie jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Jego? Siebie zatem nie szanować, znaczyłoby Bogu ubliżyć.—

— Ale cóż to mama nie pije? Emilciu! Koteczko! Nie ma w dzbanku piwa; trzeba by go jeszcze kazać przynieść.— Suchy dzbanek obudzał wstręt w panu Marcinie.

— Panno! — zawołała pani Marcinowa, zwracając się do szyjącej przy drugim stole służebnej, — proszę zawołać nam chłopca z kuchni lub z warstatu.—

Za chwilę przybył wezwany chłopczyna; blady, mizerny, bosy, z opuchniętemi nogami, któremi się ledwo wlókł po posadce.

— Cóż tam błaźnie tak się ciągniesz, kiedy pan woła — złajała pani domu malca.

— Bo mnie nogi bolą z opuchnięcia.

— Leniuchu! Darmojedzie!... Zmyślasz — i z czegożto masz nogi opuchnięte? odpowiedz, — krzyknął pan Marcin. —

— Proszę pana z chodzenia po kamieniach i po śniegu boso, z odmrożenia i zlatania ciągle na trzecie piętro do warstatu — rzekł chłopiec dość rezolutnie, bo cierpienia fizyczne śmiałości mu dodały.

— Hultaju ty jakiś! — krzyknęła pani. — Któżby ci był w stanie nastarczyć obuwia? Przyszłoby tylko na ciebie pracować. Nie dałażem ci zeszłej zimy butów z pana prawie całych?

— Ruszaj po piwo,— krzyknął pan.— Malec wziął za dzban i pieniądze i wyszedł z pokoju.

— Mamo! — ozwała się starsza panienka, rozparta przez cały czas wieczerzy leniwo na stole. — Ja chcę spać; każ mama mnie posłać. Co ta panna sobie myśli, że mnie dotychczas nie rozbiera! — i szeroko ziewnęła.

— Panno! panno! Co panna masz w głowie, że nie myślisz o swych obowiązkach? Przecież to pora spać dzieciom? — spytała ostro pani Marcinowa, szyjącą Pannę. — Dzieci nie porozbierane do tej pory. Czy może panna chcesz aby się biedaczki same rozbierały i słały łóżka? Ciekawam, na co ja pannę trzymam i za co jej płacę? —

Wezwana, złożyła spokojnie robotę i pośpieszyła wykonać rozkazy pani, zaczynając od rozkładania z łóżka poduszek różnej wielkości i rozmiarów, gdy w tem głos gniewny pani zatrzymał ją w połowie roboty.

— A czy to panna nie umiesz jeść chleba? — zawołała zapłomieniona pani, podnosząc do góry skórkę z chleba. — Kto go nie umie jeść i szanować, nie powinien go krajać; bo chleb, to dar Boży, to nie na zabawkę.

— To nie ja proszę pani — tłumaczyła się panna; — to może która z panienek. —

— To my proszę mamy — przerwała na to młodsza córeczka, szeroko ziewając.

— My chciały ulepić taką samą małpeczkę z chleba, jak tę, którą nam mama dziś rano z jarmarku przyniosła.—

— A to wy dzieci! To co innego. Patrz no koteczku! Marcinku! Co to za dziecinne dziewczęta jeszcze; takie to duże już, a jeszcze bawią się małpeczką drewnianą.—

— Ba! — rzekła na to stara mama. — Przecież to jeszcze dzieci? Cóż chcesz! Przecież twoja starsza będzie miała zaledwie lat czternaście; czemże chcesz, aby się te biedactwa bawiły?—

— Rozbierz mnie panna z pończoch — rzekła starsza pieszczoszka, gruba, opasła dziewczyna. — Tylko ostróżnie koło mojej szafki, bo tam moja lalka.—

— Co za naiwność w tych dzieciach! Mój Boże! Czy kto słyszał coś podobnego? — szepnęła z radością pani Marcinowa.

— Łaska Boska, łaska Boska, moja Emilciu; to jest widoczne błogosławieństwo za to, że wypełniamy pokornie przykazanie Chrystusa według wskazanej nauki przez najmędrszego mistrza Andrzeja Towiańskiego.—

— Tak, tak, moje dziatki; trwajcie zawsze w niewinności waszych uczuć; bądźcie zawsze tylko pracowitemi, pokornemi, a teraz mówcie pacierz.—

Panny rzędem stanęły i w takt nakręconych pozytywek, zaczęły głośno wygłaszać słowa modlitwy. Rumiany już mocno pan Marcin, to głową, to słowem, potakiwał i dopomagał im do tego, pozwalając sobie czynić córeczkom niektóre uwagi i udzielając nauki z ulubionego Towiańskiego.

Za kilka chwil, bez względu na siedzących jeszcze przy stole rodziców, starsza panienka leżała już rozebrana na łóżku do góry brzuszkiem, oddychając i odsapując. Tymczasem chłopczyna bosy ukazał się w drzwiach z pełnym dzbankiem piwa. Pan Marcin skinął na niego, aby się zbliżył i rzekł groźno:

— Słuchaj mazgaju! niedołęgo! Widzę, że nie jesteś należycie w religji utwierdzony; twoja matka źle cię wychowała. Ty poważasz się szemrać przeciwko woli Boskiej, nie jesteś zadowolony z twego losu i położenia. Synu mój! Nie wiesz że ty, że to jest grzechem? Widać, że cię Pan Bóg bardzo kocha, gdy na ciebie takie próby spuszcza. Szczęśliwcze! Tobie zazdrościć powinniśmy, a ty masz się za nieszczęśliwego.—

Dziewięcioletni malec, ze łzami w oczach patrzał przed siebie, dumał i nie pojmował wcale słów swego pryncypała. Dla czego on się ma cieszyć z tego, że go cały dzień biją i sturchają, że często głodny; że mu z zimna i utrudzenia nogi popuchły; dla czego by to miało być godnem zazdrości? I myślał: łatwo by i memu Panu przyjść do tego stopnia szczęśliwości, gdyby on tylko chciał spróbować i pozrzucać swoje buty. Nie wiem, czy by go to bardzo ucieszyło?—

Zmęczony pan Marcin, czerwony jak burak, machnął tylko ręką, dając poznać chłopcu, że może wyjść, co zrozumiał doskonale malec, gdyż zniknął szybko z pokoju. Podano herbatę tymczasem, a matka pani Marcinowej eskortowana przez chłopca z warsztatu, pożegnała dzieci swoje i poszła do domu. Niedzielna uczta rodzinna, zakończyła się od lat wielu przyjętym obyczajem.

Po rozstaniu się z matką, państwo Marcinowie przeszli do swoich pokoi sypialnych. (D. c. n.)

---

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Karol Gromadziński.**